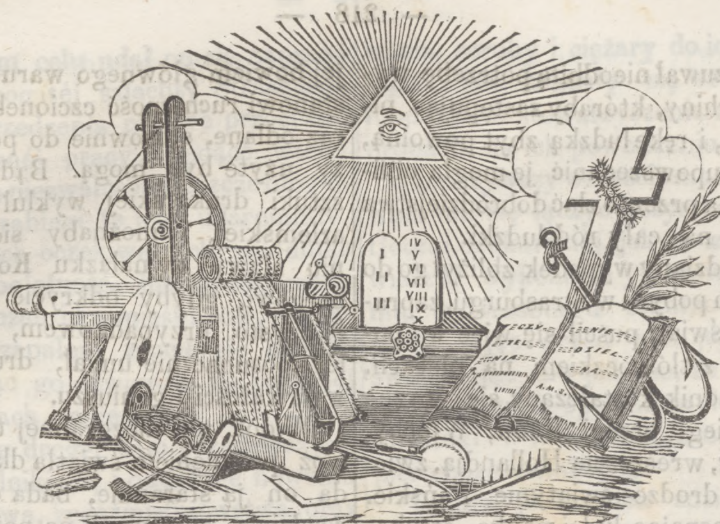
ROK DRUGI.

№ 28.

Warszawa

Dnia 30 czerwca (12 lipca) 1857.

Niedziela 5 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*" (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prawdziwą doskonałością człowieka jest wyrzeczenie się samego siebie, i człowiek ta ki nader jest swobodnym i bezpiecznym. (O naśl. Chr. K. 3. R. 39).

Jan Gutenberg

WYNALAZCA SZTUKI DRUKARSKIEJ

—

W nrze 1szym Czytelni z r. z. w artykule o *sztuce drukarskiéj*, podaną została krótka wiadomość tak o wpływie tego wielkiego wynalazku na powszechną oświatę, jako i o samym wynalazcy; gdy jednak dzieje życia podobnego człowieka na szczególną zasługują uwagę, sądzimy więc, iż zrobimy prawdziwą czytelnikom naszym usługę, dając im bliżej poznać takowe.

I.

Jan Gutenberg urodził się w wolnem i bogatem mieście Moguncyi, na pobrzeżach Renu położonem, w r. 1400, to jest lat temu 457, z familii szlacheckiéj. Ojciec jego Frile Gensfleisz z Sorgeloch zaślubił był Elizę *z Gutenbergu*, która imie swoje przekazała drugiemu swemu synowi Janowi.

Wyszedłszy zaledwie z dzieciństwa Gutenberg rzucony został w wir wojny domowéj, spowodowanéj współubieganiem się o władzę szlachty z mieszczaństwem w rodzinnem jego mieście; a gdy po długich walkach stronnictwo szlachty, do którego należał, pokonane zostało, uległ on wraz z niem wygnaniu i wydalił się ostatecznie z ojczyzny w r. 1420, mając lat 19cie.

Osiadłszy stale w Strasburgu i używając niezakłóconego przez czas długi spokoju, oddał się gorliwie naukom, które lubił namiętnie; upodobanem jego czytaniem była Biblia. Kiedy przebiegał jéj stronnice, rozmyślając nad Boskiemi naukami, stwierdzonemi męczeńską śmiercią naszego Zbawiciela, dusza jego bolała na myśl, że *Słowo Boże* przystępne jest tak małéj liczbie wiernych. Wówczas albowiem, kiedy książki wszystkie były jeszcze pisane (bo druku nie znano), nietylko że były nader rzadkie, a cena ich niesłychanie wysoką (płacono do 100 sztuk złota za jeden tom), lecz nadto bardzo mało było takich, coby czytać i pisać umieli—umiejętność ta ograniczała się wtedy na samem niemal duchowieństwie, w części na dworach królów, książąt, i niewielkiej liczbie bogatej szlachty i mieszczan. Otóż Gutenberg ważąc to wszystko

w swoim umyśle, uczuwał nieodbitą potrzebę wynalezienia takiéj machiny, którąby zastępując pismo zbyt kosztowne, i rękę ludzką zbyt powolną, a łatwo nużącą się, upowszechnić je mogła obficie i niekosztownie, a przez to zlać dobrodziejstwa Ewangelii i oświaty na cały ród ludzki.

I nagle nieprzewidziany wypadek zbliżył go do tego. Po kilku latach pobytu w Strasburgu, zapragnął był zwiedzić świat; puścił się więc w podróż sam piechotą z tłómoczkiem na plecach, jak wędrowny czeladnik kształcący się w rzemiośle. Tak przebiegł brzegi Renu, Włochy, Szwajcaryą, Niemcy, wreszczcie Hollandją, zwiedzając wszędzie po drodze świątynie Pańskie, badając pomniki i poznając ludzi nauką, sztukami, lub rzemiosłem słynnych.

Otóż pewnego dnia w Haarlem w Holandyi, zakrystyan katedry miejscowej, nazwiskiem Wawrzyniec Koster, z którym się był zapoznał Gutenberg, pokazał mu pomiędzy innemi osobliwościami abecadło łacińskie sztucznie wykonane literami rznięterni na drewnianéj desce, dla nauki Seminarzystów.

Historya tego pierwszego szkicu sztuki drukarskiéj jest następująca:

Koster był młody, a jako młody, był zakochany; z natury nieco poetyczny, na wiosnę w chwilach wolnych od zajęć swego powołania, lubił błąkać się ponad brzegami strumienia, marząc o swéj narzeczonéj. Gdy strudzony wypoczywał pod cieniem wierzb, miał zwyczaj na świeżych kawałkach wierzbiny odartéj z kory rzeźbić pierwsze litery jéj imienia i stosownemi godłami wiązać je z pierwszą literą własnego, a wracając do domu, zabierał swą pracę, jako pamiątkę swych marzeń czułości dla téj, którą kochał. Raz tedy wyrzeźbiwszy te litery z większą jak dotąd sztuką i dokładnością, zawinął małe swe arcydzieło w kartkę pargaminu i zabrał do Haarlem; ale jakże się zdziwił, gdy odwijając nazajutrz pargamin dla obejrzenia swego dzieła, ujrzał swą cyfrę odbitą dokładnie na pargaminie, w skutek wypukłości liter, z których sącząca się przez noc oskoła, odbiła je kolorem ciemno-bronzowym na kartce.

Za tem idąc odkryciem, rzeźbił on na szerokim blacie inne litery, zastąpił oskołę płynem czarnym, i tym sposobem otrzymał ową pierwszą tablicę drukarską, która wszakże tę ważną miała niedogodność, że za jéj pomocą tylko jednę i tę samą można było odbijać platę; nie dostawało jéj bowiem głównego warunku dogodności, jaką stanowi ruchomość czcionek drukarskich, które raz odlane, stosownie do potrzeby po tysiąc razy użyte być mogą. Bądź co bądź, zawiązek sztuki drukarskiéj wykluł się w zakrystyi Haarlemskiéj, i możnaby się wahać w przyznaniu sławy wynalazku Kosterowi lub Gutenbergowi, gdyby odkrycie pierwszego nie było czysto przypadkowem, którego nawet daléj posunąć nie umiał, drugiego zaś zdobyczą wytrwałości i geniuszu.

Widok téj niezgrabnéj tablicy, był jednakowoż promieniem światła dla Gutenberga — ogląda on ją starannie, bada długo i szczegółowo, rozdziela ją w myśli na pojedyńcze litery, miesza je, przemienia, porządkuje, pociąga farbą, wreszcie przykłada i ciśnie je prassą. Zakrystyan zdziwiony długiem jego milczeniem, przytomnym był, nie wiedząc o tem, rozwinięciu się myśli, od lat 10ciu pielęgnowanéj w umyśle swego gościa, który oddalając się, gotowe już dzieło z sobą unosi.

II.

Gutenberg jak człowiek skarb posiadający, co zanim go przed zazdrosnem okiem drugich ukryje, niezdolnym jest kosztować ni snu ni spoczynku, opuszcza bezzwłocznie Haarlem, i powraca śpiesznie do Strasburga, gdzie zamyka się w swéj pracowni. Tam bez niczyjéj pomocy przyrządza wszystkie narzędzia, próbuje, kraje, szkicuje, rzeźbi, odrzuca, znowu probuje, nareszcie po długich i wytrwałych usiłowaniach, udaje mu się dokonać szkic druku na pargaminie za pomocą drewnianych ruchomych czcionek z wyrzeźbionemi u jednego ich końca literami, przewierconych poprzecznie na wylot i nawleczonych na sznurek, jak paciorki różańca.

To był pierwszy alfabet drukowany.

Jakkolwiek zachwycony swojem powodzeniem, Gutenberg bystrym umysłem oceniwszy ogrom wpływu moralnego i materyalnego, jaki wywrze jego wynalazek, pojął zarazem, iż jego słaba ręka, krótkie życie i mierny majątek, zużyłyby się bezowocnie w podobnem dziele — widział się więc w konieczności przybrania wspólników do nakładów i prac mechanicznych, obok tego zaś czuł potrzebę utajenia przed nimi prawdziwego celu ich pracy, w słusznéj obawie, izby rozgłoszenie lub przywłaszczenie jego wynalazku, nie pozbawiło go owoców i za-

sługi dzieła. W tym celu udał on się naprzód do znajomej sobie bogatéj szlachty Strasburga i Moguncyi, ale uprzedzenia rodowe przeciwko wszelkiéj mechanicznéj pracy, będące wtedy w całéj swéj sile, bo niezwalczone jeszcze błogim wpływem oświaty, zabiegi te jego udaremniły. Zawiedziony w swoich oczekiwaniach, znajdując zamiast pomocy obojętność, lub upokorzenie, zwrócił się do mieszczan i rzemieślników, i z całym młodzieńczym zapałem rzucił się między lud prosty, pragnąc go dźwignąć do zupełnej równości w obyczajach i pojęciach.

Wszedłszy na tę drogę, sam przedewszystkiem został rzemieślnikiem, i oddał się nowemu kunsztowi złotnictwa, zegarmistrzowstwa, oraz szlifowania i oprawy drogich kamieni, i tym celem zawarł współkę z dwoma zamożnemi mieszkańcami Strasburga, Andrzejem Dritzehen i Janem Riff wójtem z Lichtenau; dla utajenia zaś istotnego celu przedsięwzięcia, jął się wraz z nimi do rozmaitych prac artystycznych tego kunsztu, prowadząc obok tego w skrytości dalsze swe badania nad drukarstwem. Uczył np. Dritzehna sztuki rznięcia drogich kamieni, polerował szkła weneckie do zwierciadeł, oprawiał je w miedziane ramy, które przyozdabiał drewnianemi figurkami, przedstawiającemi osoby z mitologii, Biblii lub Ewangelii. Zwierciadła te sprzedawane na targu w Akwizgranie zasilały fundusze stowarzyszenia, i wspierały Gutenberga w tajemnych wydatkach na dokonanie i wydoskonalenie jego wynalazku, który aby lepiéj jeszcze ukryć przed niespokojną ciekawością pospólstwa, podejrzywającego go o czarnoksięztwo, opuścił miasto, i pracownią swoję przeniósł do ruin starego opuszczonego klasztoru Śgo Arbogasta. Samotność okolicy zamieszkanéj jedynie przez ubogich przedmieszczan, osłoniła jego pierwsze doświadczenie.

W głębi owego klasztoru, oddanego jego wspólnikom do prac mniéj tajemniczych, zachował Gutenberg jednę celkę dla siebie zawsze zamkniętą, do któréj nikt nigdy nie wchodził. Tam trawiony gorączką, przepędzał dnie i noce bezsennie, nad zastosowywaniem swojego odkrycia, to rzeźbiąc litery ruchome, to przemyśliwając nad odlaniem ich z kruszcu, lub mozoląc się nad osadzeniem ich w formy, to wreszcie przyprawiając na rozmaity sposób farby do odbijania liter, i wynajdując szczotki i walce do nasycania ich farbą, ramy do ich przytrzymywania, szruby i ciężary do ich wytłaczania. Miesiące i lata trawiły się wraz z jego mieniem i funduszami stowarzyszenia na tych wytrwałych próbach, na ich powodzeniu i zawodach.

Ukończywszy wreszcie model prassy, która zdawała mu się łączyć wszystkie żądane przymioty tłoczni drukarskiéj, jak ją wtedy pojmował, powierzył wykonanie jéj na większą skalę biegłemu w Strasburgu tokarzowi Konradowi Saspach, tając przed nim jéj przeznaczenie, i oświadczając mu jedynie, że to była machina, za pomocą któréj spodziewa się wykonać arcydzieło sztuki i mechaniki, któréj cuda późniéj dopiero poznanemi będą.

Tokarz jakkolwiek zdziwiony tak wielkiem przeznaczeniem zwyczajnéj tłoczni, wykonał ją stosownie do żądania, i odniósł do klasztoru Śgo Arbogasta.

To była pierwsza prassa....

III.

Gutenberg jak tylko otrzymał swą prassę, zaraz wziął się do drukowania. Mało mamy wiadomości o pierwszych książkach, jakie zpod niéj wyszły; lecz były to niewątpliwie księgi święte. Sztuka wynaleziona dla rozszerzenia słowa Bożego i z jego natchnienia, od Boga też zaczęła, co stwierdzają nawet późniejsze odbicia moguńckie. Cudne śpiewy psalmów i sławna Biblia łacińska, były w Moguncyi pierwszemi drukami, jakie wyszły zpod prassy przez Gutenberga wynalezionej. Brak ten szczegółów pewnych ztąd pochodzi, iż Gutenberg bądź to przez pokorę, bądź przez dumę, na żadnym ze swych druków nie kładł swego imienia; wiemy tylko z aktu darowizny uczynionéj siostrze jego Hebeli, zakonnicy klasztoru Śéj Klary w Moguncyi, iż jéj przeznaczył książki nabożne, jakie drukował w Strasburgu wraz z przyrzeczeniem przesyłania jéj następnie tych wszystkich, jakie zpod prassy jego wyjdą.

Ale wiele zmartwień oczekiwało go po tych pierwszych powodzeniach; zmuszony z rozpoczęciem na większą skalę drukarni, do powierzenia wielu jéj tajemnic swym wspólnikom, spowodował ich do odmówienia mu dalszych zasiłków na przedsięwzięcie, jeżeli nie przypuści ich do wszystkich swych tajemnic, korzyści, całéj jego własności i całej sławy.

Łatwo nam pojąć boleść Gutenberga, w chwili, gdy zdawał się dościgać już celu swych marzeń. Odmowa ta paraliżowała wszelkie wi-

doki majątku i sławy, któremi tak długo się pieścił, które były dźwignią jego wytrwałości. Ale nie było rady: trzeba było albo porzucić rozpoczęte dzieło, albo przyjąć podawane warunki. Gutenberg nie wahał się, i dla dobra ludzkości sprzedał swą sławę. Imię jego znikło, stowarzyszenie pochłonęło wynalazcę, który wkrótce był tylko prostym rzemieślnikiem w własnym zakładzie; ale potomność sprawiedliwsza od spółczesnych, oddała hołd zasłudze Gutenberga, z męczarni zaś jego splotła nieśmiertelny wieniec i nim skronie jego ozdobiła.

Ale był to dopiero początek cierpień jego. Wkrótce potem r. 1439 spadkobiercy jednego z jego wspólników, wytoczyli mu proces, zaprzeczając własności wynalazku i użytkowania z niego. Zapozwany przed sędziów Strasburga, chąc odeprzeć uczyniony zarzut, potrzebowałby wejść w szczegóły techniczne swéj sztuki, których nie chciał jeszcze w zupełności publicznie odsłonić; wolał więc przyjąć wyrok niesprawiedliwy, aniżeli spospolitować sztukę, w któréj pokładał jeszcze nadzieje lepszéj przyszłości.

Z goryczą w sercu, opuszczony od wszystkich, porzucił on był klasztor Ŝgo Arbagosta i wrócił do Strasburga, gdzie byłby upadł może pod natłokiem boleści, gdyby go była szlachetna miłość nie wsparła. Wkrótce po osiedleniu swem w Strasburgu r. 1420 Gutenberg poznał był i pokochał młodą dziewicę szlachetnego rodu; zwała się ona *Anną* z *Portdefer*, od posiadania przez jéj rodzinę jednego z zamków tego nazwiska na skalistych brzegach Renu. Anna miłość Gutenberga odpłacała wzajemnością; młodzi kochankowie przyrzekli sobie nawzajem, iż się pobiorą. Od tego czasu upłynęło lat kilka, które Gutenberg przebył w ciężkiéj pracy, zawodach, wreszcie w nędzy i upokorzeniu. Anna wszakże nieczuła się być zwolnioną od danego słowa z powodu ubóstwa i nieszczęść swego narzeczonego, i pielęgnowała dla niego w sercu miłość nieskażoną—a gdy Gutenberg pognębiony, nie chciał przywieść małżeństwa do skutku, z obawy wciągnięcia szlachetnéj dziewicy w upokorzenie i nędzę, w którą sam popadł, wtedy ona zapozwała go przed urząd Strasburgski o zniewolenie do dotrzymania obietnicy małżeństwa, którą był zaprzysiągł. Czem wreszcie pokonała jego skrupuły.

Zapozew ten Anny istnieje dotąd i jest jednym wiarogodnym dowodem zawartego małżeństwa.

Z powodu doświadczonéj niesprawiedliwości i złéj wiary, Gutenberg zbrzydziwszy sobie Strasburg, powrócił do swéj ojczyzny. Był jeszcze w sile wieku, a wieść o jego procesie w Strasburgu rozpowszechniła imię jego w Niemczech. Pełen wiary w siebie, że zdoła zapracować na nowo na sławę, którą opromieni nazwisko przez ukochaną noszone małżonkę powracał do rodzinnego miasta, które był pożegnał rycerzem, a dziś witał rzemieślnikiem.

Gutenberg opuściwszy Strasburg w r. 1446, pozostawił w nim podania o swéj sztuce pomiędzy rzemieślnikami i robotnikami wtajemniczonymi w jego odkrycie i jego działania. Znajdujemy bowiem, iż *Mentel* czyli *Metelin* notaryusz publiczny, dopuszczony do praw obywatelstwa dopiero w roku 1447 jako mieszczanin Strasburga i d'Eckstein (Eksztajn) kanonik katedralny, zasilani funduszami przez zgromadzenie kartuzów, nie oddając się sami poprzednio tej tak mało znajoméj podówczas sztuce, zakładają drukarnię i wydają Biblię niemiecką. Wiele innych dzieł pojawiło się kolejno z podpisem drukarni Mentela, który zrobił wprędce majątek, wtedy gdy nieszczęśliwy Gutenberg, gnany niewdzięcznością i nędzą, powracał do Moguncyi.

Majątek, który zwiększał wpływy Mentela, i współubieganie się dwóch miast wolnych Moguncyi i Strasburga, sprzyjały dumnéj jego żądzy, podstawienia imienia swojego w miejsce Gutenberga, co mu się tak dalece powiodło, iż wkrótce Gutenberg został zapomniany lub umyślnie odsunięty, a Mentel ogłoszony w Strasburgu, jako wynalazca boskiéj sztuki; uroczystości nawet na cześć jego były ustanowione.

IV.

Powróciwszy do Moguncyi, podniesiony z upadku i nędzy ręką ukochanéj kobiety, Gutenberg oddał się cały swéj sztuce. Przybrawszy do pomocy Fausta bankiera i złotnika Mogunckiego wraz z Szefferem jego zięciem, założył w mieście swem rodzinnem pierwszą drukarnię, w któréj wydawał zawsze pod imieniem swych wspólników Biblie i psałterze, zadziwiającéj czystości i wykończenia.

Szeffer zajmował się był poprzednio przez czas długi rzemiosłem kaligrafa i handlem rę-

kopismów w Paryżu. Podróże jego i stosunki z artystami tego miasta, obeznały go z działaniami koniecznemi przy topieniu metalów, które zastosowane przezeń do drukarstwa za powrotem do Moguncyi, dostarczały mu nowych sposobów odlewania z ołowiu ruchomych liter z większą dokładnością, w formach miedzianych, i nadania tym sposobem doskonałéj czystości czcionkom. Temi to czcionkami psałterz, (pierwsza książka nosząca datę) wydrukowany został w r. 1457. Wkrótce potem Biblia Moguncka, uznana za arcydzieło sztuki drukarskiéj, odbitą została pod przewodnictwem Gutenberga, czcionkami odlanemi przez Piotra Szeffera.

Wyłączny kierunek nowéj sztuki, która rozpoczęła swój zawód od rozpowszechnienia ksiąg Świętych pod jedyną opieką kościoła, wysunął się dworowi Rzymskiemu, w pierwszych zaraz latach, który mniemał znaleść pomoc tam, gdzie wkrótce ujrzeć miał napastników. Gdyż w lat niespełna 20 od śmierci Gutenberga, Wenecya użyczyła prass swych sporom religijnym, drukując od r. 1490 dzieła Jana Hussa, w języku słowiańskim.

Tymczasem bankier Faust i rękodzielnik Szeffer, dwaj nowi współpracownicy Gutenberga, tak jak Mentel czy Metelin w Strasburgu, nie zdołali oprzeć się pokusie przywłaszczenia sobie pomału jego sławy; spodziewali się oni, jak tylu innych, oszukać, jeśli nie teraźniejszość, to przyszłość. Przyznawszy w pierwszym rozdziale książki *Tytusa Liwiusza*, przełożonego z łacińskiego na język niemiecki i ofiarowanego cesarzowi Maksymilianowi, że sztuka drukarska była wynaleziona w Moguncyi przez znakomitego mechanika Jana Gutenberga, zapomnieli poprzednie go swego oświadczenia, i w siedm lat późniéj przywłaszczyli sobie całą zasługę i chwałę odkrycia.

Co do sztuki drukarskiéj, ta od samego początku doświadczała opieki rozmaitych monarchów. W Niemczech cesarz Maksymiljan, pragąc ją rozpowszechnić, porównał drukarzy i zecerów z innemi stanami uczonych. Uszlachetnił on zarazem i samą sztukę, upoważniając tychże drukarzy i zecerów do noszenia sukien haftowanych złotem i srebrem, do czego sama tylko szlachta miała dotąd prawo — nadał im nadto herb: orła z rozpostartemi skrzydłami na globie, godło lotu i panowania pisma nad światem.

Lecz już nie było Gutenberga na ziemi, aby się ucieszył zaszczytem, jaki spotkał sztukę przez niego stworzoną. Odarty przez swych współpracowników z własności i sławy, wygnany ostatecznie z ojczyzny z powodu nędzy, pocieszany jedynie przez żonę, wierną towarzyszkę wszystkich kolei jegu losu, pozbawiony potomstwa przez śmierć, w starości już, bez chleba, a wkrótce ze śmiercią żony bez rodziny, znalazł schronienie u szlachetnego Adolfa Elektora (1) Nassauskiego, który mianował go swoim radcą stanu i szambelanem, a to, iżby w miłéj poufałości korzystać z rozmowy tego cudownego genjuszu. Przytułek tak szlachetnie udzielony Gutenbergowi zaszczyca na wieki Nassau i jego księcia.

Gutenberg własnemi rękoma prowadził daléj drukarnię pod okiem Elektora swego opiekuna przez lat kilka swobody i spokoju. Umarł w 69 roku życia, nie pozostawiając swéj siostrze żadnéj spuścizny, prócz małéj ilości książek przez siebie drukowanych. Biedny ten wynalazca miał jedynie do przekazania zwykłe dziedzictwo jemu podobnych, to jest pamięć życia spędzonego w boleści i udręczeniach, imie nieuznane, prace w pocie czoła podejmowane, nocy bezsenne i zapomnienie współczesnych.

Tak skończył wielki ten człowiek, ale sztuka jego nie zmarła z nim razem. Wkrótce po jego śmierci rozpowszechniła się ona z szybkością błyskawicy — w przeciągu lat kilku były już drukarnie we wszystkich stolicach Europy. Francya, Anglia, Holandya, Niemcy, Wenecya, Genewa, Rzym, Polska, współubiegały się w przyswojeniu sobie nowego wynalazku, dla rozpowszechnienia u siebie oświaty.

Wschód poznał tę sztukę przez żydów, szukających schronienia w Konstantynopolu, gdzie drukowali wykłady literatury rabinniczéj około r. 1500 — muzułmanie sami wszakże dopiero około XVIII wieku zajmować się nią zaczęli. W Rossyi pierwsza drukarnia założoną była w Moskwie w r. 1553, ostateczne jednak jéj przyjęcie i utrzymanie się odnieść wypada do roku 1580.

Klatka na występnych.

(Obrazek z XVIII wieku).

Już temu ze sto lat upłynęło, jak przyjechał do Warszawy pierwszy traktyernik francuz,

(1) Elektor czyli książę panujący.

Kwellus nazwiskiem. Pełno zawsze gości w traktyerni bywało i liczna służba uwijała się od rana do wieczora.

Pomiędzy wziętymi do posług ludźmi, była Magdusia poczciwa dziewczyna, która ze wsi przywędrowała za chlebem, i już nawet w traktyerni od roku służyła; a chociaż to mówią, że w mieście zepsuć się łatwo, jednak kto się Boga nie wyrzeknie, to go też Pan Bóg swoją świętą osłania opieką, że dobrego nie traci imienia. Więc też i Magdusia robiła cichuteczko, co do niéj należało, nosiła czyste choć ubogie sukienki, i lubili ją wszyscy; złego słowa nie usłyszała od nikogo. Nie chodziła ona usługiwać panom do stołu, lecz obowiązkiem jéj było odbierać srebrne łyżki, noże i widelce od innéj służby, dawać im czyste, a brudne umywać. Wieczorem zaś starszy dozorujący całą usługą, którego zwano panem Pawłem, przychodził srebro rachować i w porządku do szaf chował. Otóż gdy Magdusia dnia jednego zajęta była swemi łyżkami, wpadła do niéj druga dziewczyna wołając:

— Magdusiu! ojciec twój przyszedł, czeka oto na dole, i wyszła do swéj roboty.

Magdusi serce zapukało z radości; przywlokło się więc do niéj o mil kilkadziesiąt stare ojczysko, którego ona cały rok nie widziała. Jakże tu nie pobiegnąć uściskać go co najprędzej? Spojrzała po nożach i łyżkach, wszystkie były czyste, a gości też na sali niewiele. Wszak tylko pobiegnie na chwileczkę i zaraz wróci...

Skoczyła więc raźno nasza Magdusia, drzwi zamykając za sobą i pewna, że nic się łyżkom nie stanie, ponieważ byli tylko sami domowi, a nawet w tym pokoju nikogo. Z radości po trzy schody na raz zeskakiwała, żeby prędzéj ojcowskie uścisnąć kolana. Jak też się z nim nagadać nie mogła!... A co robi matka, a co siostra, co bracia? a która dziewczynka poszła za mąż w zapusty?... Byłoby o czem prawić do samego wieczora, lecz przypomniała sobie właśnie swój obowiązek i pożegnała ojca do jutra. Wróciła spiesznie na górę; drzwi były tak samo zamknięte, pokój tak jak wtedy, kiedy wychodziła pusty, a łyżki, noże i widelce leżały stosem na stole. Pocieszyła się, bo ją już był brał strach o nie, a było ich tak dużo, że i przeliczyć trudno, tem bardziéj, że ciągle jedne przynosili, a zabierali drugie.

Późnym już wieczorem przyszedł pan Paweł odbierać srebro, lecz co za nieszczęście!—z rachunku pokazało się, że brakuje czterech łyżek.

Francuz jął strasznie łajać po swojemu, z czego wystraszona Magdusia zrozumiała te tylko słowa wymówione złą polszczyzną: jutro, zobaczy, jutro... ty zlodziej ty... siedzieć klatka.

Dla zrozumienia, dlaczego francuz klatką groził, trzeba wam wiedzieć, że wówczas była w używaniu kara publiczna, zwana *kabatem* lub *kuczą*. Był to rodzaj klatki postawionéj obok staromiejskiego ratusza. Miała ona przeszło pięć łokci szerokości, tyleż wysokości i długości, a wszystkie jéj ściany były z krat żelaznych, podłoga zaś z ciosowego kamienia. Nazywano ją klatką na żydów i przekupki, albowiem i pierwsi i drugie siadywali tam często. Żydzi za szachrajstwa różne, za handle niedozwolone, przekupki za niedoważenie lub niedomierzenie tego, co przedawały. Winniejszym dawano potem chłostę publiczną, co było srogą, bo jeszcze więcéj narażającą na wstyd karą.

Przed pięćdziesięcią laty wyszło jeszcze takie ogłoszenie: aby gospodarze i gospodynie żadnéj sługi nie przyjmowali do usług na ćwierć roku, ale tylko na cały rok, a któraby służebna, czy służący od pani i pana swego swawolnie ze służby odeszli przed wyjściem roku, będą karani kabatem, wyjąwszy, gdyby pani albo pan dobrowolnie którego i którą odprawił.

Rozumiecie więc teraz, jak straszne było usłyszeć Magdusi ten wyraz: *klatka* którą jéj obiecywano, jeżeli na drugi dzień łyżki się nie znajdą. A gdzie ich szukać było i gdzie je znaleść?

Już była północ, kiedy Magdusia spać się położyła, lecz zapuchłe od płaczu powieki kleić się do snu nie chciały, a tylko ciągle przychodziły na pamięć wyrazy: *złodziéj... klatka.* Myślała, kto jéj też to mógł te łyżki zabrać, ale nic wymyśleć nie mogła, bo nawet nie wiedziała, czy kto podczas jéj rozmowy z ojcem, przez ten pokój, gdzie było srebro, przechodził, a obcy też nie mógł tam wejść żadnym sposobem. Tak przemęczywszy się do dnia białego, wstała Magdusia i przeżegnała się do pacierza. Magdusia zapragnęła polecić się Bogu w kościele, i podczas, kiedy jeszcze wszyscy w domu spali, pobiegła do Śgo Jana, padła na kolana i modliła się tak pokornie, tak serdecznie, tak gorącemi łzami skrapiała kamienną posadzkę, że ojciec Najwyższy ulitował się nad nią, a modlitwa pociechą i nadzieją napełniła jéj serce. Wychodząc

z kościoła, spotkała znajomą, która dowiedziawszy się od Magdusi o jéj stracie, poradziła, iżby się udała do staréj Marcinowéj, co niedaleko ztamtąd szynkowała w piwniczce. Kobieta owa dużo ludzi co dnia widywała, bo jaki taki do niéj wstąpił na kieliszek, przeto też wiedziała zawsze, co się w mieście stało i mogła coś wykryć o stracie Magdusi. Poszła tedy do niéj Magdusia, a przechodzić musiała przez rynek Starego Miasta, gdzie właśnie wielki był zgiełk koło klatki, do któréj wsadzono kłótliwą i nierzetelną rzeźniczkę. Zmuszano ją trzymać w ręku kawał mięsa, jako znak, że za oszukiwanie na wadze więzioną była, a zgraja chłopców ulicznych śmiała się z niéj i żartowała.

— Jejmościuniu! wołał jeden, jabym tam z wami poszedł siedzieć, żebym wiedział, że mi tę pieczeń upieczecie.

— Tłustą kokoszkę wsadzili do kojca, niema co mówić —żartował drugi.

Szewczyk jakiś wyrwał się od majstra swego i nuż wyciągać ręce przez kraty do uwięzionéj i prosić o kawałek mięsa. Majster wypadł, wytargał za uszy i pocięglem nagnał do roboty, ale na jego miejsce czterech innych koło klatki stanęło i dokuczało niemiłosiernie rzeźniczce, która odbierała to, co drugim wyrządziła nieraz sama, bo była złą i kłótliwą, i ostrego nie żałowała słowa. Lecz teraz upokorzona płakała gorzko, a nie miała nad nią miłosierdzia gawiedź prosta i nieoświecona, bo ludzie prawdziwie pobożni i rozumni, nigdyby się tak nad nieszczęśliwym nie pastwili.

Magdusia przebiegła, zatykając uszy, i aż mrowie po niéj przeszło, myśląc, że i ją to czeka, jeżeli się łyżki nie znajdą, a podejrzenie o złodziejstwo na niéj ciążyć będzie. Ze zdrętwiałemi od strachu nogami zeszła cicho kilkanaście schodów do sklepiku Marcinowéj prowadzących; drzwi były przymknięte, i szept jakiś niewyraźny uszu Magdusi doleciał. Wsunęła głowę, rozpatrując się, nie wiedzieć dlaczego, bardzo ciekawie po izbie. Wtem serce zaczęło jéj bić gwałtownie, rozszerzyła jeszcze bardziéj oczy, dostrzegła bowiem w kącie izby znajomego sobie żyda Herszka, który pokazywał Marcinowej srebrną łyżkę. Niewiele mówiąc, skoczyła ku niemu Magdusia i łyżkę nagle z ręki wydarła. Była bowiem pewną, że to jedna ze skradzionych; ona je znała tak dobrze, a Herszek był aktorem, który wszystkiego do traktyerni dostarczał, który sam jeden tylko z obcych wchodził tam w każdym czasie.

Powstało zamieszanie, bo żyd i Marcinowa krzyczeli na Magdusię, i chcieli jéj łyżkę odebrać. Magdusia rzuciła się ku drzwiom, oni drzwi zatarasowali; dziewczyna w krzyk, oni jéj chcieli gębę zawiązać, lecz tego nie dokazali, bo ludzie z ulicy na pomoc nadbiegli, drzwi gwałtem otworzono, a na oskarżenie Magdusi, Marcinowę i żyda straż miejska zatrzymała.

Kradzież łatwo została wykrytą, bo resztę łyżek znaleziono w szynku u Marcinowéj, która jak się pokazało, dopomagała w ten sposób przyjaciołom swoim, kiedy ci chcieli ukryć to, co wzięli cudzego. Herszek wyznał, że wszedłszy do pokoju, gdzie było srebro, i nie zastawszy nikogo, schwycił naprędce cztery łyżki, myśląc, że o nie takiego wielkiego harmidru robić nie będą. Nie zabawiano się nim długo i wkrótce przemądry Herszek siedział w klatce, a zgraja uliczników przyśpiewywała mu pieśni. Lecz Magdusia uradowana, że się o jéj niewinności przekonano, nie poszła mu się przypatrywać, jak ją do tego drugie namawiały i litowała się tylko nad nieszczęśliwym, że go chciwość do takiego przywiodła wstydu.

Klatkę zaś dopiero 1810 roku rozebrano, zniósłszy poprzednio karę publicznéj chłosty.

Drugi list Piotra Rychlaka

DO PAŃSTWA, CO CZYTELNIĘ NIEDZIELNĄ WYDAJĄ.

— Choćbym się miał naprzykrzyć łaskawym Państwu, muszę ten list do nich napisać; bo to nie sztuka prosić o co, ależ wypada i podziękować, kiedy się stanie wedle prośby naszéj. A mnie bardzo cieszy, że za mojem uproszeniem wydrukowano *Różności Tygodniowe* mego dziadka; więc niechże Państwo nie pogardzają mojem serdecznem za to podziękowaniem. A przytem, mam też o co i prosić Wielmożnych Państwa, bo to już taka w naszym stanie natura, że jak za jedno dziękujemy, to o coś drugiego pewno prosić mamy. Tak też i ze mną teraz. Oto słyszałem, że panowie w różnych stronach i w saméj Warszawie, dużo wydają książek przydatnych dla rzemieślników, dla sług, dla chłopców. A to trzeba przyznać, że się dobrego domyślili, poszli do głowy po rozum, bo też już dla siebie samych napisali tyle, a tyle, że to tych książek ani przeliczyć. Przecież widziałem, co to tego

w szafach siedzi, jakem niedawno naprawiał ścianę w bibliotece rządowéj w pałacu Kazimirowskim; a woźny mi powiadał, że to takich szaf z książkami, po pańskich dworach i mieszkaniach, to jak mrowia. Ale co do któréj zajrzeć, to choć po polsku pisana, choć człowiek niezgorzéj czytać umie, jednakże ani rusz, nic a nic w nich nie rozumie; bo niema w nich żadnego podobieństwa do tego, co my prości ludzie umiemy. Niechże Bóg płaci wszystkiem dobrem każdemu, co dla nas książkę napisze. Bo widzą Państwo, od kiedy zaprowadzono *Czytelnię Niedzielną*, to ochota do czytania rośnie w nas jak na drożdżach. A powiem Państwu, że ot naprzykład ja, co mam dzięki Bogu taką żonę, co woli w niedzielę i święta coś nabożnego, albo ciekawego przeczytać, niżeli na jakiem bałamuctwie, ochocie, wieczór przepędzić. Więc oboje jak wrócimy ze spaceru, przeczytamy *Czytelnię Niedzielną*, to jeszcze nam czasu dość zbywa, i radzibyśmy jeszcze jaką książką się zabawić. Bo i do tego muszę się Państwu przyznać, że nie wszystko w Czytelni od *a* do *z* czytamy; ot tak, co komu z nas do smaku przypadnie, bo i tam trafi się, że nie wszystko dobrze rozumiemy—a jak natrafimy na jakie trudne słowo, cośmy go nigdy nie słyszeli, to nam zaraz psuje cały szyk w czytaniu, i przytem opuszczamy takie rzeczy, co za mądre, albo nieciekawe dla mnie i dla mojéj żony. Ależ na to sobie powiadamy: co nam nieprzydatne, to dla drugich może być bardzo potrzebne, boć przecież i między nami są tacy, co jeszcze więcéj mają uczoności w głowie, niżeli ja i moja żona; co prawda to nie grzech. Więc tedy do tego ciągnę, że nieraz radzibyśmy jeszcze wiedzieć i o owych książkach dla nas przydatnych, bo my już teraz zaczynamy miarkować, że lepiéj i taniéj zabawić się można przy książce, jak na jakiéj hulance. Kupiwszy książkę, to się nią zabawię i sam i żonę, i z sąsiadem, który mi potem swojéj książki pożyczy, i jest o czém ze znajomemi pogadać, bo z książki taki zawsze coś dobrego do głowy i do serca przybędzie. Jak człowiek zdobędzie się na kupienie książki, to nietylko że sam się nią ucieszy, ale i dzieci z niéj dobrego nauczać może. A jak człowiek pójdzie do karczmy, czy do szynkowni na zabawę, to co? Oto wyszkoduje się więcéj, niż sobie postanowił, nasłucha się krzyku, hałasu, obrazy Boskiéj, sam do tego da się wciągnąć, i wraca do domu uboższy, gorszy niż był.

Więc chciałem łaskawym państwu powiedzieć, że niejeden już tak między nami myśli. Otóż zanoszę prośbę, żeby nam *Czytelnia Niedzielna* donosiła o takich książkach, co nam są przydatne, gdzie i po czemu dostać ich można? Ja proszę państwa niedawno czytałem *Rozrywki dla Rzemieślników* przez tego Jachowicza napisane, co to lud nasz zna go dobrze, bo z téj szkółki, co on zaprowadził w Warszawie, niejeden poczciwy przybył nam terminator i czeladnik, a ten Jachowicz jeszcze lepiéj niż my jego, nas znać musi, kiedy tak doskonale pisze, co nam potrzeba. Proszę państwa, ja i Gregorowicza książki niektóre czytałem, także mi się ogniście podobały; a oto niedawno mój kum przywiózł mi z Krakowa książeczki co w nich opisane *obyczaje ludu wiejskiego*. Tośmy się z żoną i z jéj kumoszkami, a mymi kolegami, nie mogli oderwać od czytania, co tam popisano o *Leniwym Bartku*, o *Franku pijanicy*, o *Kubie Jarmarczym* i innych jeszcze. Tylko nam trochę nie na rękę było, że tam wiele takich słów, co u nas ich nie zrozumieć, jak np. *życzać*, *stawiarka*, *wagować*, *tłemsiać*, *gdowa* i t. p., bo to co kraj, to obyczaj; więc niechby tam sobie lud krakowski po swojemu niektóre rzeczy nazywał—ależ nam się markotno zrobiło, że oni tam już z niemiecka widać rachują, bo mówią *pięć trzydzieści*, *ośm dwadzieścia*, zamiast po ludzku rachować: *trzydzieści pięć*, *dwadzieścia ośm*. Koniec końcem, jak nam nasza kochana *Czytelnia Niedzielna* doniesie, że kto wydrukował książeczkę dla nas przydatną, będziemy się starać, żeby ją czytać. Jedni złożą się na jéj kupienie, drugim będą jéj pożyczać; na inną książeczkę znowu inni się złożą, razem w kompanii to jednę, to drugą przeczytamy, aż miło będzie.

Proszę także i ten list mój wydrukować, a to dlatego, żeby moi koledzy mieli dowód, że cośmy z nimi uradzili, i o co mnie oni prosili, ja wielmożnym państwu, jak mogłem przedłożyłem, co kończąc, piszę się szanownéj Czytelni Niedzielnej

Najprzychylniejszy czytelnik
Piotr Rychlak,
Czeladnik mularski.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 25 czerwca (7 Lipca) 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.